

057579

0,50

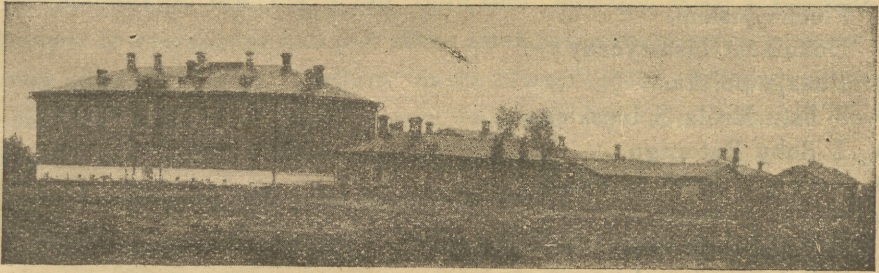
Rok IV.

DZISNA

Nr. 1-2.

NASZ GŁOS

Dwumiesięcznik naukowo-literacki i społeczny.
Organ młodzieży szkolnej.



131958

„Jak okręt, w ruch wprawiony uderzaniem wiosel, własnym mknieniem rozpędem i z tą samą posuwą się chyżością, choć wiosła spoczyna, tak ja, zacząwszy ubiegłymi laty rozwijać ową sprawę i niejako wypłynąwszy na to morze, nie mogę powstrzymać rozpędu łódki mojej i brnę dalej w nadziei, że łódź tę przy poparciu waszem doprowadzimy do upragnionej przystani.“

ANDRZEJ FRYCZ MODRZEWSKI (wiek XVI)

Rok 1933

Cena 50 gr.

Treść numeru wrzesniowego i październikowego:

- 1) Głos Redakcji.
- 2) Dział sprawozdawczo-wycieczkowy.
 - a) Do Królowej naszych wód-Naroczy.
 - b) Wspomnienie z obozu harcerskiego.
 - c) Wycieczka do Druji.
 - d) Onego dnia.
 - e) Wycieczka gimnazjalna do Wilna na III Targi północne
- 3) Złot w Gödölö.
- 4) Wesele na Dziśnieńszczyźnie.
- 5) Plucha jesieni.
- 6) Dokument historyczny.
- 7) Poezja polska.
- 8) Z listu Króla Sobieskiego.
- 9) Z doby Batorego.
- 10) Batory o Kochanowskim.
- 11) Wolna trybuna.
Szkłane domy
- 12) Feljeton wakacyjny.
- 13) Nad szczytem góry
- 14) Słowo o działalności prof. A. Matyaszki.
- 15) Głosy prasy.
- 16) List z Padwy o „N. Głosie“.
- 17) Kalendarz reportera.
- 18) Humor i Satyra
„Szeroki świat“.

UWAGA. Ze względu na treść sprawozdawczą z wycieczek szkolnych wiele materiału redakcyjnego odkładamy do numeru listopadowego „Naszego Głosu“.

Ze względu na ogólny kryzys finansowy zniżyliśmy cenę poszczególnych zeszytów naszego dwumiesięcznika t. j. z 70 gr. do ceny 50 gr.

NASZ GŁOS

✂ DWUMIESIĘCZNIK ✂

SPOŁECZNO-NAUKOWY I LITERACKI.

Głos Redakcji

1538

Staaliśmy obecnie przed obliczem nowego roku szkolnego. Naszym towarzyszem doli jest praca zwalczania rozmaitych przeciwności ekonomicznych. Hasłem naszym-współpraca, jedność. „Byłe przetrwać“ wyjątkowo ciężki kryzys i nie dać się złamać twardej rzeczywistości. Zapędy młodzieńcze nie powinny hamować nas w obliczu przykrej nędzy na roli i po miasteczkach.

131953

Wyuczasy skończyły się i należy znów zabrać się do pracy. Praca organizacyjna w sekcjach powinna być owocna, lepsza, nie może być uciążliwym ciężarem dla nas. Miejmy zasadę: praca jest kluczem do dobrobytu jednostki, przede wszystkim-zbiorowości. Nowa szkoła-to Nowe Życie...

Staśmy się w szkole elementem aktywnym; wykładnikiem tej aktywności ma być samorząd uczniowski, minjaturowy obraz ustroju republikańskiego. Każdy z nas ma prawo zabrać głos na posiedzeniach samorządu, także i na kartach naszego pisma. Piszcie o wszystkim-co Was cieszy i boli, piszcie o sobie i o drugich. Otwarcie i szczerze.- „NASZ GŁOS“ jest waszym głosem.-

Niechże w czwartym roku swego istnienia pismo dziśnieńskie stworzy nowe pokolenie samodzielnych ludzi, przednią straż nad Dźwiną, elitę dobrze zasłużonych, bo czas i ludzie sprzyjają, a nie-przychylne wiaty precz d nas odeszły.

M. A. (VII)



„Do królowej naszych wód—Naroczy“

(Wspomnienie z harcerskiej żeglarskiej wycieczki na jez. Narocz.)

Było to w maju b. r. Wyruszamy czółnem, Dźwiną, drogą okropną do największego jez. w Polsce, do Naroczy. Narocz—to nasz cel. 20 maja wieczorem pożegnaliśmy się z p. Dyrektorem T. Stanińskim, który życzył nam najpomyślniejszych osiągnięć celów w długiej, przeszło 400 kilometrowej podróży „- która nie tylko rozszerzy wasz horyzont geograficzny, ale stanie się jeszcze jednym motywem do ukochania ojczystego kraju.“ Słowa p. Dyrektora pozostaną na zawsze w naszej pamięci. Za miejsce zbiórki obraliśmy brzeg Dźwiny vis a vis mieszkania jednego z „czwórki“, dh. Jurka. Dnia 21 maja, w niedzielę rano, łódź wraz z przynależnościami—uporządkowaliśmy. Załadowaliśmy do niej plecaki, żywność, koce i t. p. potrzebne w wycieczce „rzeczy“. Nie zapomnieliśmy również o wędze, mieliśmy bowiem łowić ryby. Śpieszymy się, bo już pół do szóstej. Wysłuchujemy rad i wskazówek drużynowego, następnie robimy pierwsze zdjęcie i żegnani harcerskiem „Czuwaj!“ drużynowego oraz kilku kolegów, - odbijamy od brzegu ze śpiewem:

„Czy na Bałtyku, czy na Atlantyku

„Ze swego losu drwij!“..

Powoli czółno oddala się po czystej, niezamąconej toni Dźwiny. Postacie na brzegu maleją i nikną. Pogoda była wprost „bajkowa“, plecaki wypełnione doskonałym prowiantem, wioślarze, w usposobieniu wesołem — słowem wszystkie warunki składały się na bardzo miłą podróż. Zlekka mgła podnosiła się z nad rzeki, a promienie wschodzącego słońca odbijały się delikatnie w wodzie. Posuwaliśmy się dość szybko, nie dziwnego — z prądem. Za nami pozostała wysepka, a także i miasto, pogrążone jeszcze we śnie. Płynęliśmy kilka godzin, nie widząc, prócz wysokich brzegów, nic więcej. Polskie wyspy stoją prosto, dumnie, jak ten Kopista na straży, by wróg, czy inny zbrodniarz, nie miał odwagi wejść na lechicką ziemię. Dokoła każdego polskiego słupa znajdują się ogrodzenia sztachetowe. W przeciwstawieniu tem słupy naszych „sąsiadów“ z za Dźwiny wyglądają jak starzec pochylony latami lub zupełnie umarły. Dzieło powodzi z wiosny 1931 roku nie zostało usunięte. Robią takie widoki przytem niemiłe wrażenia, ale trudno, skoro jedziemy „volens nolens“ musimy patrzeć na tych strażników. Tymczasem słońce zaczyna przygrzewać na dobre. Zrzuca-

my nasze „drelichy“ i nacieramy się środkami zapobiegającymi przed zbyt gwałtownym opaleniem, t. j. oparzeniem skóry. Tak nam było dobrze i wesoło w tej spiekocie słonecznej, że nie zauważyliśmy nawet, jak na brzegu o kilkanaście metrów od nas ukazał się patrol. „—Stój! zatrzymać się“ — brzmiał głos. Mimowoli każdy z nas drgnął i zwrócił oczy na krzaki, skąd wysunęły się dwie postacie naszych „morowych Kopistów“. Przeglądali nasze legitymacje (mówię „legitymacje“, bo tam znalazłbyś i szkolną P. W. i Z. O. O. P. i sportową, bo ja wiem jeszcze jaką). Ze swojej strony wyjaśniliśmy, że telefonowano z dzisiejskiej strażnicy do wszystkich innych strażnic, że pojedą czterej harcerze, żeby im nie robiono trudności w posuwaniu się. Oni o tem nie wiedzieli. Ponieważ to był pierwszy posterunek, zapytaliśmy się więc żołnierzy, czy nie zechcieliby z nami sfotografować się. Naturalnie nie odmówili. Wysiedliśmy na brzeg. Teraz chodziło o założenie kliszy gdyż ta, co była założona była zużyta w Dziśnie przy odjeździe. Więc okryto naszego Munda kocem dla założenia kliszy do aparatu. Zdjęcie w prędkim czasie było zrobione, ale niestety, jak się potem okazało, klisza została pod kocem naświetlona. Trudno, taki „przezroczysty“ był koc!

Posuwaliśmy się dość szybko, przytem każdy z nas chętnie robił wiosłem ucząc się jednocześnie i zaznajamiając się w wiosłowaniu z tajnikami ruchów najbardziej celowych dla osiągnięcia posuwania się naprzód łodzi bez zbyt dużego wysiłku mięśni i zabezpieczenia organizmu od zawsze szkodliwego uczucia zmęczenia. Zaznaczyć muszę, że każdy z nas wiosłował z przyjemnością, czy w warunkach przyjaznych, czy w mniej przyjaznych. Mieliśmy ustalony porządek wiosłowania i to w ten sposób, że pół godziny wiosłuje się, następnie ten sam idzie do steru też na pół godziny, a następnie całą godzinę siedzi ewentualnie może spać! Minęliśmy jeszcze jeden patrol, ale ten prawdopodobnie wiedział już o naszym przejeździe, ponieważ zachowywał się obojętnie, wskazując ręką, że możemy płynąć dalej.

Nieba sprzyjały nam, bowiem słońce przygrzewało, jedynie czasem przesłaniał bogów obłok. Lekki podmuch wiatru muskał nasze plecy, delikatnie ochładzając. Krajobraz był przeważnie monotony, ponieważ wysoki brzeg przesłaniał nam dalszy horyzont. Mijaliśmy mniejsze i większe wysepki, najeczęściej zarośnięte krzakami lub drzewami. Zdaleka ujrzeliśmy po stronie bolszewickiej jakąś niedużą miścinę. To Dryssa.

Domy murowane, gdzie niegdzie wznoszą się kominy, prawdopodobnie dawne fabryki, jakie to, nie wiem, pamiętające zapewne lepsze czasy. Za domami na pierwszym planie wznosi się wieżyczka cerkiewki (teraz może jakiego składu). Dalej widać most kolejowy dość okazałych rozmiarów. Na brzegu rzeki widać było kilku żołnierzy, widocznie niedaleko znajdowała się strażnica. Przy brzegu było kilka tratw. Nasz brzeg był stromy i bardzo wysoki. Ściana z suchej, twardej gliny,

Czółno zostawiliśmy na brzegu, a sami zaczęliśmy pięć się pod górę, po kamieniach, i twardej jak cegła glinie. Z powodu pochyłości brzegu pięć się musieliśmy na „czworakach“ postępując „okrutnie“. Co chwila ktoś z nas zsuwał się na dół i znów zabierał się *ad rem!* Nareszcie po długim, a ciężkim stękanii, wydostaliśmy się na wierzch. Tu rosły krzaki i gdzie niegdzie sterczały nagie pnie sosen lub świerków. Mieliśmy wrażenie jak gdybyśmy stali nad przepaścią lub nad jakimś urwiskiem. Nad samym brzegiem rosło drzewo, mające lada chwila runąć w dół. Na tym brzegu zrobiliśmy kilka zdjęć. Przytem trzeba było dobrze trzymać się prawie pazurami gliny, by nie ześlizgnąć się. Ale jakoś obeszło się bez tego ostatniego i nasz fotograf Mund oraz Felek zrobili zdjęcia. Następnie popłynęliśmy dalej, przecież mamy dotrzeć do niedalekiego już Leonpolu. Humor przez cały czas był z nami w przyjaźni i ani na chwilę nas nie opuszczał, więc wciąż był wybuch śmiechu, lub przerywała ciszę nasza pieśń harcerska. Słońce tymczasem śmiało się ku nam i igrało z lekkimi falami, a ciała, wstydząc się swej nagości i nie mogąc znieść jego uśmiechu rumieniły się w najlepsze. W międzyczasie ukazał się przed nami Leonpol, robiący raczej wrażenie małej wsi, niżli miasteczka. Jako tako uporządkowaliśmy się, następnie przybiliśmy do brzegu, do małej zatoki. Łódź przywiązaliśmy do pochylonego nad rzeką drzewa, sami zaś idziemy na zwiady.

Przeszedłszy kładką rów, coś w rodzaju jaru podolskiego, znaleźliśmy się pod kościołem, tonącym w zieleni drzew. Obok na słupach wisiał dzwon. Z pałacu zrobiono kościół. Zwróciliśmy kroki do plebanji, ale proboszcza nie zastaliśmy w domu, więc udaliśmy się do organisty, gdzie nas gościnnie przyjęto. Zaraz zaczęliśmy znosić plecaki i t. p. rzeczy. Następnie zaspokoiliśmy głód mlekiem i chlebem, i poszliśmy w towarzystwie organisty Ridziela zwiedzać Leonpol. Byliśmy w szkole, gdzie podpisano nam „kronikę“. Potem udaliśmy się na strażnicę, by załatwić formalności

co do dalszej żeglugi. Słońce było za lasami, rzucając ostatnią wiązkę promieni w chwili, kiedy poszliśmy do lasu pobliskiego oglądać starą kolumnę, o której różnie opowiadają różni. Naszkicowaliśmy jej kontury, a ponieważ mrok zwolna zstępował na ziemię musieliśmy wracać. Po spożyciu kolacji trzeba było pomyśleć o noclegu. Jakkolwiek nikt z nas nie jest aktorem, jednak znaleźliśmy się na scenie! Oczywiście rzecz, że rola nasza nie była wielka, ograniczyła się tylko do snul. Słomę znaleźliśmy na miejscu, a przykrywszy się żaglem „ułożyliśmy się, by zasnąć“. Początkowo żywo rozprawialiśmy, wspominając to sztubę, to belfrów. Ten lub ów prawil „wice“... Czasem bractwo ryknęło spazmatycznym śmiechem („nurosia“) lecz coraz rzadziej to się powtarzało, aż wreszcie ustały szmery i cisza zaległa dokoła. Spali już wszyscy. W ciszy i ciemności leżąc, zdawało mi się, że widzę jakiegoś rycerza ze skrzydłami rozpostartymi, niby anioła do lotu ze słowami cichemi a błogimi — „Jam miłość wasza braterska — wasza harcerska — śpijcie spokojnie i krzepcie swe siły, bom tutaj na warcie. Zbliżał się anioł ku nam. Posłuszny wezwaniu — usnąłem...“

c. d. n.

W. GINTOWT (VII).

Wspomnienie z obozu harcerskiego

Wspomnienia, jakie się mi nasuwają po odbyłym kursie harcERSkim w okolicy górzystej, w ziemi wileńskiej, składają się z wielu charakterystycznych szczegółów.

Wyjazd na obóz hufca I z prowincjonalnej stacyjki, Ziabki, w nieznane okolice Landwarowa sprawiał wrażenie przyjemne, wiedziało się, że czekają nas niespodzianki, żal jednak ściszał serce bo opuszczało się swój dom rodzinny. W Ziabkach nastąpiło pożegnanie z rodzicami, przestrogi. Któraś z matek krzyknęła: „Wracajcie zdrowe“ - i pociąg ruszył wolno. My wszystkie wtłoczone w okna wagonu, żegnałyśmy rodzinne strony, ukochane folwarki kresowe, choć dobrze wiedziałyśmy, że nie na tak długo... I tak spoglądałyśmy przez szybę okna na mknące przed nami pola, słupy telegraficzne, krzaki i moczary. Niebo lśniło od migotliwych gwiazd. Księżyc zawieszony był daleko nad czarnymi lasami, a nam zdawało się, że żegna on nas piosenką.

Po kilku godzinach, zmęczone wrażeniami, oczekiwaliśmy

snu. Oczy się kleiły-godzina sennej nudy - cisza. Zasnęliśmy wreszcie. Nad rankiem przetarłyśmy powieki, patrzymy nieśmiało na szyby. Mówią, że wnet Wilno. To miejsce zborne harcerek. Z radością ujrzałyśmy dworzec, następnie okiem szukałyśmy nerwowo podharc mistrzyni. Okazało się, że już czekała na nas. Nazwisko jej brzmiało obco - pani Z. Szajkowska. Osoba szczupła, wysoka, w sile wieku, stanowcza, gospodarna, kierująca wszystkim naraz sprężyste. Odjazd z Wilna był już gromadny, wspólny

Obserwowałyśmy z okien nowe twarze, miasto, obce nam okolice. W tych stronach miałyśmy spędzić miesiąc czasu. Na przystanku „Rykonty“ wysiadłyśmy żwawo, z piśnią harcerską na ustach. Po pewnym czasie marszu byłyśmy już w lesie. Przed oczami naszymi zieleńta się polana, pięknie położona, bo nad brzegiem rzeki Wilji. Nastąpiła zmiana w naszych uczuciach. Za sobą zostawiłyśmy krzyki, gwar wielkomiejski, tu czekała nas zbożna praca! Niemal modlitewne rozanielenie duszy harcerek.

Zrzuciłyśmy plecaki i stanęłyśmy do szeregu pod komendą obożnej. Rozpoczęły się dni pracy. Żadna z nas nie miała ani chwili wytchnienia. Czekala nas praca od wczesnego rana do samego zmroku; a wszystko podług ułożonego rozkładu zajęć. Jedne kopały rowy, inne robiły dziury, inne znów stawiały drążki lub napinały płótna namiotów. Po sześciu godzinach obóz był gotowy. Dziesięć dużych namiotów, kuchnia, dół na śmiecie, wysoki maszt, strzelający w niebo, a pod tem kolisko, miejsce zbiórek w obozie, kąpielniczka obozowa, upiększona zielenią i kwiatami polnymi - oto nasz dziewczęcy „wyczyn“ harcerski. To wszystko zrobione było w pierwszym dniu!

W drugim dniu nastąpiła praca około urządzenia wnętrza obozu: dla gier sportowych boisko poza terenem obozu powstało, które służyło i dla gimnastyki porannej, prowadzonej przez drużynę - instruktorkę. Jak mówiono żartobliwie „od łamania kości“!-

Do wnętrza namiotu trzeba było sfabrykować w sposób samowystarczalny: łóżka, stoły, ławy, wieszadła, i t. d.

Dopiero normalne życie obozowe było trzeciego dnia. W tym dniu powstało pierwsze ognisko obozowe, radosne dla nas, z biciem serca oczekiwane. Był to klucz, którym się otwierało zawsze obóz. Nic w tem niema smutnego, nic niema czułościowego, je-no szereg czekających nas przeżyć i przygód. Symbol znicza palącego się w naszym harcerskim życiu. Znak światła pracy. Hasło życia dla idei.

A więc kolejność pracy codziennej miała swój ustalony szablon: Modlitwa, chwila podniesienia i opuszczenia sztandaru, trzy palce, wyciągnięte w stronę sztandaru, posiłek, wykłady, ćwiczenia. Ale najokropniejsza rzecz to ta „kuchnia“ wśród much i pajęczyn, na słońcu. Dlatego śpiewano: kucharz gorzkie leje ży..! —

Bronisława Gimzewska (VII).

Wycieczka do Druí.

Wycieczka ta zapowiadana na kilka tygodni przed oznaczonym terminem i po dość dobrym doborze materiału uczniowskiego wypadłaby może lepiej, gdyby nie to, że fatalna pogoda zaskoczyła nas w drodze. Cel wycieczki historycznej był podniosły: poznać nasze rodzinne kresy północno—wileńskie, poznać widome ślady przeszłości, rozsiane w zabytkach architektonicznych, rzeźbiarskich, malarskich i rękopiśmiennych. Do pomocy mieliśmy aparat fotograficzny, który spełnił zadanie utrwalenia tego, co widzieliśmy zupełnie dobrze.

Pod kierunkiem historyka, prof. Arema wyruszyło 25 maja b. r. piętnastu ochotników. Wymarsz o 4 rano—na szlak druijski.

Pierwszym naszym etapem był Leonpol, gdzie byliśmy przyjęci przez byłego naszego kolegę, Wirkowskiego, bardzo gościnnie. Zabytków historycznych jednak nie znaleźliśmy w tem miasteczku. Ruszyliśmy w kierunku Druí. Po drodze złał nas siarczysty deszcz, który nam towarzyszył do samego celu naszej wędrówki. Humory w Druí się nam poprawiły, komentowaliśmy żywo prace naszych niefortunnych kolegów, orientujących się lepiej w terenie. Mieli nas wyprowadzić po błocie na krótszą drogę. Niestety omijając przeróżne jamy, błotka i jeziorka, po dostatecznem kołowaniu weszliśmy na trakt, niepotrzebnie robiąc 8 km drogi.

W Druí gościł nas Ksiądz Dyrektor Cikoła w klasztornych murach, dokąd chętnie schroniliśmy się po 35 kilometrowym spacerze po słońcu. Wypoczynek słusznie nam się teraz należał. Prezes samorządu gimnazjalnego, kol. Baranowski, zaopiekował się troskliwie.

Bosko odpoczywaliśmy do rana. 27 maja zwiedziliśmy osobliwości miasta Druí. Zamek Sapiehów nie robi wrażenia ruin, budzi

wątpliwości czy jest autentyczny. Cerkiew św. Ducha i kapliczki ponnickie ciekawie są budowane i są najstarszemi typowemi zabytkami sztuki bizantyńskiej. Samo miasteczko jest wybitnie kresowe. Szczęśliwe, że ma dworzec kolejowy, a więc komunikację ze światem, bo uboga Dzisna i tego nawet nie ma.

Z Druł udaliśmy się pociągiem do Mior, gdzie dzięki gościnności byłej uczenicy naszego gimnazjum p. Fiedukowiczówny znaleźliśmy szczęśliwie dach nad głową. Po przenocowaniu zwiedziiliśmy miasteczko. Miory poza pięknym jeziorem nie przedstawiają nic specjalnie godnego uwagi. Zwraca uwagę jedynie piękny kościół, zbudowany przez księdza Brodzisza, o którym ludność miejscowa opowiada wiele nieprawdopodobnych zresztą anegdot. Droga z Mior do Dzisny nie przechodzi przez żadne większe osiedla tak, iż pod względem historycznym poza rozsianemi tu i ówdzie grobami poległych z czasów wojny polsko-bolszewickiej, nie przedstawia nic ciekawego.

Owocem wycieczki są zdjęcia fotograficzne, z których ciekawsze są: wnętrze kaplicy w Ryżmontach, kolumna na pamiątkę Konstytucji 3-go Maja, ustawiona przez rodzinę Łopacińskich w lesie przed Leonpołem, wnętrze papierni w Międzyrzeczu oraz wszystkie ciekawsze objekty w Druł.

W tem miejscu uważam za swój obowiązek w imieniu wszystkich uczestników wycieczki podziękować wszystkim, którzy się nami w czasie wycieczki opiekowali i okazywali nam pomoc, w szczególności serdecznie dziękujemy przewielebnemu księdzu dyrektorowi Cikocie, oraz p. Gołubiewowi, którzy nadzwyczaj gościnnie przyjęli nas w gimnazjum im. Stefana Batorego w Druł.

Aleksander Rarowski (VIII).

Onego dnia...!

(wspomnienie z obozu Przystosobienia wojskowego)

I przybyła rzesza młodzieńców do onego boru, co go Radzim zwano. A rozbiwszy namioty, srogie otrzymali przykazania. A oblekłszy skórzane odzienie — szemrali, iż źle im jest. W on czas kaźden został przydzielon i zapisan w poczet młodzieńców, którzy pełne mieli kałduny a głowy puste, jakoby kto powietrze weń wtłoczył. I wzięwszy swą zbroję, pobrali swe maczugi i poszli — na pustynię.

A namiestnikiem był człowiek okrutny i wielki złośnik. Przystąpiwszy tedy do nich lżył ich i poniewierał.

A skończywszy swą pracę odeszli, a pozdejmowawszy obuwie i odzienie leżeli. Spali snem sprawiedliwych i zobaczyli drabinę, a po niej wstępowali i zstępowali panowie z szarzy. I rzekł Pan: „róbcie co chcecie, będziecie jeszcze ze mną w raj“⁴. A myśmy, jak łob, cierpliwie czekali jutra.

A gdy przyszedł on dzień, co go Niedzielą zowią, zebrawszy się razem wielki krzyk czynili i hałas, albowiem był to dzień spoczynku i lenistwa.

A gdy nadszedł zmrok i słońce świecić przestało, pozapaławszy ognie taniec wyprawiali, a grzyjąc się krzyczeli i różne sprośności wygadywali.

A owa uroczystość „Ogniskiem“ się zwała. I siedzieli wszyscy wkoło, a słuchali owych, którzy krzyczeli i zgiełk czynili. A gdy już drzew zabrakło i głosy ucichły, rozeszli się cicho, a pobrawszy odzienie Boga chwalili i na odpoczynek szli, wystawiwszy wartowników, że mienia strzegli i wroga nie wpuścili.

A przebywszy tak dni i nocy dwadzieścia (!) i jeden rozpędzono ich, a ślad żaden po nich nie został. A oni posiadawszy na muły i osły do domów swych dążyli, radując się w Panu. A napotkawszy po drodze przechodniów — zaczepiali, żałując potem tego i płacząc przez trzy noce.

ARNOLD (VIII).

Gimnazjalna wycieczka do Wilna na III Targi Północne.

Dane:

W wycieczce brało udział 61 osób z p. dyrektorem na czele. Dzięki zapomudze, udzielonej przez Samorząd, na wycieczce byli wszyscy uczniowie ósmej klasy. Kierownikiem wycieczki był p. prof. Markiewicz, gospodarzem kolega Kuczyński (VIII), skarbnikiem kolega Żybajło (VIII), a sekretarzem generalnym Huszczo (VIII). Wycieczka trwała od 7—11 wiześnia włącznie. W Wilnie byliśmy trzy dni.

Rozpoczynamy wycieczkę!..

Po omówieniu wszystkich kwestyj na specjalnem zebraniu

wycieczkowiczów 7-go września wyruszyliśmy wszyscy. Zbiórka była na stacji Ziabki; do napisania to łatwe, ale 35 km. odbyć pieszo, to nie byle co! Jedni jechali końmi, ale to nieliczna burżuazja, reszta per pedes apostolorum— to proletarjat! Droga owszem, trochę kocich łbów, trochę błota, ale jak na kresy, to aż za dobrze, pozatem trochę wiatru.

Na wsi.

Wgnieciony w jesienne błoto-smutne, szare chałupy. Wiatr igra pękami wyrwanej ze strzechy słomy, od bladego horyzontu odbija się rdza liści drzew—wieś. Chcieliśmy kupić mleka. Mimo poszukiwań w całej wsi nie znaleźliśmy ani kropli.—A panoczek, gdzież ciper mleko?—Jedna krowa, rodzina złożona z 5.ciu-6.ciu osób, a mleko jedyną-okrasą, a gdy czasem uda się zrobić osekę masła, trzeba sprzedać: na pudełko zapalek, na naftę do kopciuszki. — Sprzedaj nam jabłek — prosimy młodzieńca, liczącego około 20 lat. Za 10 groszy nie chciał dać pięciu jabłek, a za 5 groszy dawał 3 jabłka. Spotykamy zziębniętego, bosego chłopca, pytamy—chodzisz do szkoły? a chodzę, jak nie trzeba pędzać na pastę. Słońce na chwilę rozjaśniło niebo, a wieś była matowo brudna i nad nią wisiała ciężarna płachta troski, co wtłoczyła w ziemię i przygarbiła jej mieszkańców—beznadziejność i melancholja, która już nie ma więcej łez by płakać.

Jedziemy!

Nareszcie jedziemy, to znaczy pociąg ruszył. Mieliśmy osobny wagon, jakkolwiek nie w dosłownem znaczeniu. W wagonie żywa sztuba z jej wadami i zaletami. Są tam Helki i Halki, Irki i Sońki oraz Antki. Takie ciągle miłe, gębujące towarzystwo. Jedne coś żują, drugie sobie dokuczają, prowadząc niby dyskusję, a ktoś znowu wyciągnął z kieszeni komentarze do komentarzy Cezara. Wszyscy są zajęci, a my tymczasem jedziemy!

Pociąg to zwalnia, to nagle się podrywa— ale się weale nie cofa. Z krajobrazów: dużo wody, bo krajobraz wodnisty, dużo pola, reszta to krzaki i krzaki, a wszystko w objęciach nocy.

Pod Wilnem.

Było dość widno. Rzeźkie, ranne powietrze. Ruch w wagonie. Odważniejsi wychodzą na platformę. Mój kolega Ferdek okazał się rychło bohaterem, ponieważ wiatr czapkę stracił mu z głowy i przypomniałem sobie słowa poety: „Czapkę wichur niesie; wiatr huka po lesie“...—a jemu się na płacz zbierało. Czapka pozostała w rowie kolejowym, a głowa pojechała do Wilna. Szkoda, że nie

odwrotnie. Już coraz bliżej Wilna. Widziałem taki obrazek: pastuszek leżąc przy ognisku czytał książkę. Z oparów rannych na różnych poziomach wyłaniały się jakieś kształty senne, niewyraźne, bo mgła zatarła ostre linie.

Wilno.

Wilno, jesteś i będziesz naszym. Trzecie Targi Północne, to pawilony i pawilony, eksponaty i eksponaty, ani język tego nie wypowie, ani pióro nie opisze, chociaż mówią, że ubiegłe targi były okazalsze. Przykłady: auta, ryby, drób, zwierzęta futerkowe, prosiaki i t. d., a także konie, pawilon eksportowy, pszczelnictwo. Pawilony: Żyrardów, Królewska Huta, pozatem uzdrowiskowe, węglowe, okazy i wiele innych. Bardzo ładny i ciekawy był pawilon „Wileński“, na uwagę zasługiwało stoisko Kurjera Wileńskiego. Było i wesołe miasteczko czyli, jak niektórzy mówili, grzeczne wyciąganie pieniędzy z kieszeni. Ale ponieważ ziemia nasza powinna nas wyżywić i odziać, jak się wyraził kresowy ziemianin generał Żeligowski, okazało i bogato wypadł pawilon lniarski. Jak okiem sięgnąć, wszędzie len i konopie. Owo wyżywienie powinno nareszcie znaleźć urzeczywistnienie swoje w trzech województwach najuboższych t. j. wileńskim, białostockim i nowogródzkim. Dla lnu mamy wyjątkowo odpowiednią glebę i klimat i to wystarczy, aby zapewnić w tych województwach ludności życie gospodarcze, ale przede wszystkim należy rozbudować sieć eksploatacyjną w tej dziedzinie. Rząd zorganizował już doświadczalną stację lniarską, dając kredyty i kupując masowo produkty lniarskie przede wszystkim dla armji. Że len w armji może mieć szerokie zastosowanie, udowodnił to już specjalny pawilon „wojskowy“. Pawilon lniarski unaoczniał nam doskonale sposoby przetwarzania i konsumowania lnu. Eksponaty pochodziły przeważnie z powiatu dziśnieńskiego, a mianowicie ze stacji doświadczalnej w Berezweżu i z folwarku p. Pietraszkiewicza (Woronowo, gm. Pliska). P. Pietraszkiewicz poświęcił wiele czasu, by dać nam szeroki obraz pracy w tym kierunku. Pokazywał nam np. obrusy, ręczniki, kilimy, ubranie, zrobione wyłącznie z lnu, następnie narzędzia, któremi miejscowa ludność posługuje się przy pracy lniarskiej. W pawilonie wyżej wymienionym służył nam cennymi wyjaśnieniami były uczeń gimnazjum dziśnieńskiego K. Pietraszkiewicz, fachowy kierownik działu przeróbki chemicznej i mechanicznej lnu. Za cenne wskazówki dziękujemy mu na tem miejscu. Przed nami t. j. młodzieżą szkolną widnieje wdzięczna perspektywa propagowania lnu. Nie

powinniśmy pozostać w tyle, skoro organizacja młodzieży pod nazwą „Straż Przednia“ daleko posunęła się w propagandzie, nosząc lniane mundury. A więc niechże ten będzie łącznikiem gospodarczym na kresach północnych!

Sadownictwo.

„Nasz Głos“ poruszał już tak ważną dla rolników sprawę, jaką jest sadownictwo, dlatego też parę słów o sadownictwie należy powiedzieć. Na wystawie Targów Północnych reprezentowanych było kilka szkółek drzew owocowych np. szkółka samorządu wileńsko-trockiego w Bukiszkach, szkółka majątku Godzisz, poczta Sobolew (na żądanie wysyłają cenniki), szkółka drzew i krzewów owocowych w Emiljanowie.

25-ciolecie Związku Strzeleckiego.

Podczas naszego pobytu w Wilnie obchodzono 25-lecie związku Strzeleckiego, 1908—1933. Byliśmy świadkiem całego cyklu podniosłych uroczystości, jak defilada na placu Łukiskim ze strzelcami, strzelczyniami, orlętami, kadetami z różnych stron: z Pomorza, ze Śląska, z Wileńszczyzny, z Dżisny także. Jak się widziało żołnierzy—obywateli Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, to mi się zrobiło gorąco, bo słyszałem tchnienie Polski Mocarstwowej. Wielka to była manifestacja. Zimne było południe.

Panie, kup pan...

Nędza jest wszędzie: u chłopca, kolportującego pięciogroszowe dzienniki, u małej dziewczynki z cukierkami, u bezrobotnych, zarówno samotnych, jak i ludzi z rodziną. Bieda uliczna szuka schroniska na dworcu kolejowym. Mówi sobie taki bezdomny pan: „wypędzą mnie, to wypędzą, trudno, ale ja tymczasem prześpię się na kawałku ławki, jak człowiek“. Słowa takie wychodzą z ust dziwnie drgających skurczem, to rezygnacja na wszystko mówi boleśnie przez nie.

Wilno.

Wilno, miasto pamiątek! Rzecz znana. Wycieczkę naszą bezinteresownie oprowadzał, ciekawie, fachowo i szeroko objaśniał Dr. Jerzy Orda. Dzięki niemu poznaliśmy stare Wilno w najdrobniejszych szczegółach. Była to pokazowa lekcja historii Polski. Samo miasto Wilno jest o specyficznym, brudno kremowym kolorycie. Miasto szoferów i dorożkarzy. Rozsypaliśmy się po Wilnie. Teatry, kino, wystawy—przyciągały do siebie młodzież. Każdy starał się jak najdłużej być w mieście, by na własną rękę oglądać wystawy. Wszyscy szukali wrażeń, niektórzy na włas-

ną rękę, zapominając wogóle o istnieniu wycieczki, i dopiero po trzech dniach na dworcu wszyscy odnaleźliśmy się.

(Zaginął jeno jedyny uczeń—Kozioł).

Powrót do Dżisny.

Kolej jest niewygodną komunikacją jednak. Skoro wyjechaliśmy z Wilna o godzinie 1.30, a przyjechaliśmy do Ziabek o godz. 10.30, siedząc w zaduchu. W dodatku towarzyszyły nam ciągle komplikacje kolejowe np. nieporozumienia z zarządem kolei, przystanki długie jak wieczność, n. p. w Królewsczyźnie, podobno z powodu drezyny, która przejazd zatamowała.

Jako wycieczkowcy mieliśmy niby osobny wagon, ale to tylko niby, bo musieliśmy bronić go przed zachłannością ludzką oraz władz, bardzo indywidualnie myślących o podróży. Zmęczeni, o głowach pełnych wrażeń, ale z pustymi kieszeniami przybyliśmy do Dżisny.

Korzyści z wycieczki.

Jesteśmy daleko od wszelkich ośrodków kulturalnego życia, zwłaszcza my, uczniowie 8-mej klasy, na których ciąży obowiązek nauki o Polsce Współczesnej. W Wilnie widzieliśmy ową Polskę na własne oczy, przynajmniej tej Polski drobny kawałek. Niektórzy z nas byli poraz pierwszy w Wilnie.

Odważę się na jedno twierdzenie, a mianowicie, że wycieczka do Wilna więcej nam dała korzyści niż X przeczytanych książek i X pogadank z przeźrocami.

Jan Huszczo (VIII)

Dyrekcja gimnazjum państwowego im. Ks. Grzegorza Piramowicza składa podziękowanie p. Dr. Jerzemu Ordzie za fachowe, bezinteresowne oprowadzenie młodzieży dzisiejskiej po zabytkach historycznych w Wilnie.

Złot w Gödöllö.

Tegoroczny złot międzynarodowy skautów wypadł na Węgrzech w Gödöllö. Jest to czwarty międzynarodowy złot harcerek, w którym uczestniczyło 48 reprezentacyj organizacyj skautowskich. Harcerstwo polskie było reprezentowane najlepiej, tuż po angielskiem.

W dniu 2 sierpnia nastąpiło otwarcie Jam boru Złotu. W godzinach rannych zostały odprawiane nabożeństwa różnych wyznań, a po południu nastąpiło uroczyste otwarcie złotu w obecności 50 tysięcy widzów przez regenta Węgier adm. Horthy'ego i gen. Baden-Powella. Jakże się zmienił Naczelnny Skaut Świata od ostatniego Jamboree! Biedny stary! Z trudem potykając się i uginając kolana wszedł po schodkach na trybunę, a stojąc już na niej przemówił do zgromadzonych. Ileż tu się braci harcerskiej zebrało, więcej niż trzydzieści tysięcy, chociaż to tylko delegacje, drobne garstki przedstawicieli czteromiljonowej armii, rozsianej po całym świecie. Można bez goryczy serca czuć się starym, skoro zostanie się po sobie takie dzieło, tylu tętniących młodemi siłami skautów. A słowa Jego są tak proste, tak miłe, ojcowskie.

Po przemówieniu Twórcy Skautingu poderwała się w powietrze biała chmura i walcząc z wichrem mknie wysoko i znika..

To polskie drużyny puściły dwieście gołębi pocztowych, posłańców słów Naczelnego skauta. Następuje 2 godzinna defilada drużyn. Polacy wyróżnili się dobrą postawą i wzbudzili powszechną sympatię.

Śnieżyli się zdala i „purpurzyli“ pod mnóstwem chorągwi, szli tętniąc siłą, radością, sprawnością.

A więc szeregi Sieradzan w samodziatach, Górale podhalańscy, Krakusy i długie równe szeregi, szaro-zielone, barwne od chustek i krajk.

Węgrzy witali harcerzy owacjami zarówno z grupy ogólnopolskiej, jak i warszawskiej.

Trybuny aż drżą od „Czuwaj!“

Wieczorem zapłonęły liczne ogniska nie Jamboree, widoczne aż do Budapesztu..

Wszyscy ludzie, którzy nieraz z dalekich stron przyjechali, aby obejrzeć obóz, opuszczają go ze zrozumiałem poczuciem radości i dumy, ponieważ Skauting węgierski przedstawia się nader imponująco, Sprawność, wyrobienie, gościnność, estetyka wyglądu obozów stawiają gospodarzy na pierwszym miejscu Jameboree.

Życie na zlocie samo wre, tętni i przelewa się.

Oślawiony był tradycyjny „chaugé“, wymiana, która stała się pro prostu namiętnością, łaogiem i sportem.

Mieniali czasem żywego wielbłąda na krajkę, skórę pantery na pantofle, lilijkę harcerską na scyzoryk, czapkę na kapelusz, chustkę na ołówek, ołówek na spinkę, spinkę na krawat i t. d.

Równocześnie funkcjonowały kino, wystawa harcerska, w teat-

rze stale coś przedstawiano. Szaro-błękitny Norweg gra na skrzypcach. Polacy tańczą mazura aż drzazgi lecą z podłogi! Razu pewnego Baden Powell, siedząc za stołem w obozie polskim uśmiechał się ku tańczącym mazura, a Szefer harcerstwa łotewskiego uprosił o pozwolenie wzięcia udziału w tańcu, za nim ruszyło kilku Węgrów i Norweg! Radosna międzynarodówka. Wszędzie mienia się stroje to dziwaczne piękne, bogate w barwie i. t. p.

Idealny porządek i ład, panujący w tych obozach potęgował estetyczne wrażenie. Po obozach węgierskich, polskie i czeskie były najpomysłowiej ozdobione. Przejierał z nich indywidualizm odnośnych ras i wysokie zdolności zdobnicze. Inne obozy nie posiadały w takim stopniu tych walorów oryginalności, oraz fantazji.

Wogóle nie brak było w polskim obozie tradycji, wzorów i pomysłowości. Sławne też były krzesła wileńskie, splecione z korzeni, niby z potwornych rogów. Pełno wszędzie fantazji i niewyczerpanej pomysłowości, a cały obóz wileńskiej „czarnej trzynastki“ brał górę.

Błonia Jamboree szumią, falują, łopocą morzem sztandarów, u góry warczą awionetki, przelatują szybowce, między któremi były i polskie (sześć, podczas gdy Węgrzy pięć!).

Teren Jamboree był ogromny park, dawniej cesarski.

Trudno wymarzyć coś piękniejszego i lepszego; ustronie bajka dla roześmianej i barwnej młodości...

W. G. (VII).

Wesele na Dziśnieszczyźnie.

Mówiąc o wsi, należy nadmienić, że dwa czynniki wpływają na wstąpienie w związki małżeńskie dwojga ludzi: samotność i brak gospodyni domu.

Mężczyzna, kierowany choćby jedną z tych dwóch konieczności, zaczyna starać się o towarzyszkę życia. Bardzo rzadko postępuje za głosem serca, lecz skierowuje kroki tam, gdzie „czuje“ pieniądze.

Zazwyczaj w sobotę, po poprzednim zbadaniu sytuacji w towarzystwie „drużki“, osoby starszej wiekiem i żonatej, zaopatrzony w wódkę, jedzie „żanich“ w swaty. Przyjeżdżając do nieznanomych (a co bardzo często się zdarza) goście przedstawiają się rodzicom i wszystkim członkom rodziny „niewiasty“. Początkowo toczy się

rozmowa na temat ogólnie gospodarski. „Drużka jednak szuka okazji wyjawic cel swego przybycia. Przy najmniejszej okazji wtłacza stereotypowy cytat:

„Pryjechali pa tuju kwietku,
Szto widzieli na rynku w letku“

Naturalnie rodzice wiedzą już na podstawie tych słów, na co się zanosi. Drużka teraz zajmuje stanowisko informatora w sprawie majątkowej, w sprawie wartości moralnej „żanicha“ i t. d.

Z chwilą, gdy rodzice stają się przychylnymi, drużka zwraca się do „maładuchi“ z zapytaniem, czy ona zgadza się na propozycję rodziców.

Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, drużka, jako główny agent, wzywa „maładzioż“, aby podziękowali rodzicom za pozwolenie na zawarcie związków małżeńskich. Następnie drużka raczy się wódką, a gospodyni domu dostarcza zakąski.

Zaczynają się „zapoiny“.

Podczas „zapoina“ naznaczają dzień następnego spotkania zw. „zaruczyny“.

„Zaruczyny“ posiadają charakter więcej oficjalny.

„Żanich“ w towarzystwie ojca lub brata i drużki, zaopatrzoną w wódkę i zakąski tym razem, przyjeżdża do „niewiasty“. Zasiadają do stołu i drużka zaczyna pić pierwszy. Z chwilą, gdy kieliszek obiegnie naokoło (a trzeba wiedzieć, że na wsi wódkę piją jednym kieliszkiem) drużka zaczyna rozmowę na temat posagu. Stawia warunki, wypełnienie których decyduje o pomyślnem rozwiązaniu akcji małżeńskiej. Po ukończeniu rokowań w sprawie posagu, następują właściwe „zaruczyny“.

„Niewiasta“ ofiarowuje przysłemu małżonkowi chustkę jedwabną lub szal, a rodzice „drużce“ i ojcu „żanicha“ „stany“ t. j. materiał lniany na koszule.

„Żanich“ natomiast daje swej wybranej pierścień złoty, a drużka i ojciec płacą pieniędzmi rodzicom, na konto „maładoj“. W końcu naznaczają dzień ślubu i kreślą plan obchodu uroczystości weselnej.

Właściwą uroczystość poprzedza ceremonjalne pieczenie „karawaju“ t. j. chleba, ozdabianego różnemi freskami i wycinankami z ciasta.

Pieczenie „karawaju“ u „żanicha“ odbywa się we czwartek, a u „maładoj“ — w piątek. W tym czasie młodzi muszą opuścić mieszkanie.

Zbierają się trzy sąsiadki i przystępują do pracy. We trójce

wybierają ciasto z dzieży, we trójkę formują bochenki i we trójkę wsuwają do pieca i śpiewają:

„Karawajawa ciesta
Pabiehta na miesta¹⁾
Pa miód, pa harełku,
Pa krasnuju dziewku“.

Następnie trzykrotnie uderzają szuflem o sufit, aby młoda para żyła wesoło.

Po dokonaniu tego, przychodzi „młoda“, ewentualnie „młody“ i częstuje kobiety wódką, zapraszając jednocześnie na wesele.

W E S E L E

W sobotę wieczorem zjeżdżają się goście i przychodzą koleżanki i koledzy czyto panny młodej, czyto pana młodego, aby skorzystać z okazji i zatańczyć.

Rodzice „niewiesty“ względnie „żanicha“ w kożuchach sierścią na zewnątrz, tańcząc „lawonichu“ zaczynają wesele. Całą noc wszyscy się bawią.

Rano zaś krewni zbierają się do komory, gdzie na nich czeka panna młoda, ubrana w bieli.

Jej towarzyszą „bajarki“.

To samo dzieje się u „żanicha“ z tą tylko różnicą, że panny towarzyszące jemu, nazywają się „swaciec“. W komorze formuje się orszak w ten sposób: na przedzie stają rodzice, trzymając dwa bochenki chleba, tuż za nimi panna, ewentualnie pan młody w otoczeniu swej „drużyny“, a w końcu reszta gości.

Przy dźwiękach harmoszki, lub skrzypiec i cymbałów prowadzą „na pasad“. Przychodzą młodzi i stają za stołem. Wtedy jeden ze współbiesiadników zaczyna przemowę zw. „racja“.

„Racja“ jest to splot słów polsko - rosyjsko - białoruskich.

„Pławała pawa pa siniu moru,
Wypływała pawa na ziałony jawor,
Suczcza²⁾ łamała, gniazdy zwiąta,
Znasila para jajek
I wywodziła para dziatak
I nie mahłaż im rady dać
Za bujami³⁾, za wiatrami,
Za drobnymi dażdżami.

¹⁾ na miesta — do miasta (gwarowe białorusie)

²⁾ suczcza — gałęzie (gwara)

³⁾ za bujami — za silnymi wichurami.



Takie sama nasza panna młoda
 Patrzyła u swaju biasiedu
 I upraszała pierwej, najpierwej
 Hospoda Boha Najwyższego,
 Dnia dzisiejszego i czasu szczęśliwego.
 I upraszałaż mnie samego,
 Jak brata rodnego,
 Jak sługu wiernego,
 Abym chciał ja prosić pierwej najpierwej
 Hospoda Boha Najwyższego,
 Dnia dzisiejszego, czasu szczęśliwego,
 Żeby waspaństwa życzyli, nie pogardzili.
 Szczerem sercem pobląhasławili
 Także naszej młodej pannie
 Na pasadzie sieści, na szczęśliwym mieście.
 Prasiwia ja raz, proszę i drugi raz
 Niskim ukłonem,
 Anielskiem słowem.
 Żeby waspaństwa życzyli i t. d.

Ta ostatnia zwrotka powtarza się trzy razy.

Następnie dwaj starsi mężczyźni, t. j ten, co miał przemowę
 i jakiś inny jeszcze, uderzając dwoma bochenkami chleba o siebie,
 śpiewają:

„Boże błąhasławi wiasiella zacząć,
 A maładym tańcawać“.

(c. d. n.)

M. Andzilewko (VII).

Plucha jesieni.

*Snuje się wspomnień nić złota,
 Duch w przeszłą rzuca się drogę;
 Serce mi pali tęsknota.
 Za czem? Sam wiedzieć nie mogę.*

*Za sinem oknem
 Wiatr płacze łzami jesieni,
 Zawodzi w rytmie głuchym
 I łka i szłocha...*

*Czegoś tak mi trzeba,
 Jakbym coś zgubił z mej duszy
 Na jasnych błękitach nieba
 Okowy ciężkiej katuszy.*

*Serce tęsknota mi pali,
Za wiatrem dzikim, rozłkanym,
Co w błotnej błąka się dali,
Z świstem rzucając się w tany.*

*Jesienna nuda zasiadła,
Wlepila oczy bezsilne,
Jak stara, chora kobieta, gdy starcze ręce wyciąga
W poszarpanej chuście do słońca...*

*Przyszłaś o szarej godzinie
By zabić moje życie,
I wyrwać z piersi, co czuje
I pogrześć skrycie.*

Dymitr Kasaty (V).

Dokument historyczny

(15 sierpnia 1920 roku).

„Naczelný Wódz zwraca uwagę na bezwzględną konieczność przeprowadzenia całej operacji w nakazanych rozmiarach. Względ na zmęczenie ludzi i na straty nie może tutaj odgrywać roli. Wszystkie wojska, szczególnie zaś prawe skrzydło IV armji, muszą się liczyć z tem, że nawet słaba osłona i niepewność sytuacji na skrzydle nie może powstrzymać marszu w jego głównym kierunku. Wszystkie wojska zrozumieć muszą, że bitwa ta rozstrzyga los wojny i kraju, i że dać może ona pożądane rezultaty tylko przy najwyższym wysiłku i woli każdego poszczególnego żołnierza i oficera. Daleko posunięta inicjatywa ofensywna wszystkich dowódców będzie gwarancją zwycięstwa.

Od powodzenia powyższej akcji zależą dalsze losy całej Polski.

Na was żołnierze 14 dywizji są zwrócone oczy Ojczyzny i mam nadzieję, że wasze wypróbowane męstwo i odwaga nie zawiodą i w tym wypadku i że ofensywa, ustalonym zwyczajem 1 dywizji Wielkopolskiej przeprowadzona będzie klęską dla nieprzyjaciela.

Szczęść wam Boże w świętej sprawie obrony Ojczyzny.“

(Wyjątek z rozkazu Naczelnego Wodza, wydanego w kwaterze głównej o godz. 3 rano, 15 VIII 1920 r.)

Nadmienić warto, że 14 dywizja rozpoczęła ofensywę pod osobistym dowództwem Marsz. Piłsudskiego i za odwagę odznaczona została srebrnym krzyżem „Virtuti militari.“

Poezja polska

(w pierwszych miesiącach Wielkiej Wojny)

Na rozgorzałym niebie czerwcowego słońca ukazała się krwawa plama mordu politycznego, równocześnie rychłej wojny ludów, o którą modlił się Mickiewicz. Śmiertelne strzały Principa w Sarajewie, potem ultimatum, powszechne zbrojenia się mocarstw i wyraz Wojna zerwał się ze wszystkich ust, jak okrzyk alarmu. Zawrzało w koszarach. Dzienniki puściły w ruch maszyny rotacyjne. Wojna gigantów, Europa poróżniona rozpadła się na 2 wielkie obozy. Ze wszystkich zaułków płynąć poczęły fale nieprzebrane ludzi bezimiennych w szarych mundurach polowych. Na tęczowym łuku, wśród świstu kul i ryku armat, ponad wydarzeniami dnia bitewnego wśród historycznych dokumentów los zwolna kreślił wyraz „Polska“.

W 15 rocznicę istnienia państwa polskiego należy przypomnieć o poezji bojowej, polskiej w pierwszych miesiącach Wielkiej Wojny. To przecież nasze pierwsze jaskółki literatury, wkraczającej w nowy okres dziejów. To początek Nowej Ery każdego Polaka. To nowy kalendarz dni narodowego odrodzenia. I oto dnia 3 sierpnia wydał cesarz austriacki zezwolenie na Towarzystwa strzeleckie (t. zn. Sokoli, Strzelcy, Drużyny Bartoszwowe i in.), które mogą być przekształcone na korpusy z prawem kombatanów. 6 sierpnia wyrusza z Krakowa (historycznych Oleandrów) pierwsza kadrowka, jako pierwszy szereg polski. 16 sierpnia z inicjatywy Koła Polskiego zapada decyzja sformowania jawnej organizacji narodowej w dwu polskich legjonach pod polską komendą w związku z nacz. dow. armji austro-węgierskiej. Naturalnie do walki z Rosją na ziemiach polskich.

17 sierpnia pojawia się pierwsza odezwa Naczelnego Komitetu Narodowego, wzywająca Polaków do broni.

Po stu latach znów realizuje się polska „myśl zbrojna“
Na imię jej—Legjony.

Śród poetów spotykamy takie nazwiska: Mikulski, Pietrzycki, Rossowski, Stwora, to znaczy ci, co zostali nad warsztatem pracy. Inni poszli w pole, jako ochotnicy: Żuławski, Orkan, Bieder, Bergel, Teslar. Są i tacy, których zakryje cień ziemi: Wid (Strengey), padły pod Dębinem, Wreszcie kobiety, które oddały się służbie samarytańskiej.

Z 19 sierpnia 1914 mamy wiersz Artura Kopacza p. t. „Legjony“. Parę dni potem ukazuje się E. Kubalskiego „Na drogę“, Biedera „Was wzywamy“, dowodząc, że legjony bronią spuścizny przodków:

„albo dożyjem wielkiej, świętej chwili,
albo wszyscy polegniem martwi na sztandarze“...

Inny wiersz „Przysięga“ jest wezwaniem do odwetu. Bardzo udanym wierszem lirycznym jest „Modlitwa legjonistów przed bitwą“. O charakterze religijnym jest Perlmuttera „Modlitwa dziecka“ i Stodora „Modlitwa“, Łepkowskiego „Modlitwa Polki“ prosi o błogosławieństwo dla pokolenia „w łzach“. Wyróżniają się w tych pierwocinach sonety Henryka Wida:

„O błagam cię, Artemis boska!
Gdy będę zmierzał broń w pierś mej ojczyzny wrogów
I siał grad kul, jak chmurę mściwych ptaków
Daj oku memu celność twą, o córo bogów
Bym wyśpiewać swą strzelbą mógł zemstę Polaków
I pieśń wolną, że jeszcze nie zginęła Polska.“

Diana, jako bogini strzelców często występuje i u Orkana. Głównym piewcą tragedji polskiej miał się Słoński: oto znane, przepojone nieogarnionym smutkiem zwrotki „rozdzielił nas, mój bracie, zły los i trzyma straż...“

(„r“)

Z listu Króla Sobieskiego

(pisanego 28. VII. 1683 r. do M. Sieniawskiego)

„.. „, bo lepiej w cudzej ziemi, o cudzym chlebie, w asystencji wszystkich sił imperji, nie tylko samego cesarza, wojować, aniżeli samym się bronić o swym chlebie i kiedy nas przyjaciele i sąsiedzi odstąpią, gdy im w takim razie prędkiego nie damy sukursu“.

Z doby Batorego

W twórczości Kochanowskiego spotykamy wzmianki o Połocku, zdobytym przez wojska polskie. Podajemy niżej pieśń 13 z ks. drugiej pióra Jana z Czarnolasu:

*Znowu tedy, skąd był wyszedł,
W ręce polskie Połock przyszedł,
Za powodem szczęśliwego
Stefana, Króla polskiego.*

*Nie pomogły kule częste,
Zręby mocne, baszty gęste,
Puściły żelazne brony.
A ty królu niezmierzony.*

*Nietylko zamki bodowne,
Y twierdze bierzesz warowne:
Ale, co chwalniejsza tobie,
Jesteś silen y sam w sobie.*

Batory o Kochanowskim.

„Stefan z Bożej łaski Krol polski i t. d. Oznajmiamy wszystkim i każdemu z osobna komu o tem wiedzieć należy. Po usunięciu urodzonegó Andrzeja Goluchowskiego na podkomorstwo sandomierskie, gdy urząd, który sprawował wojskiego sandomierskiego komu innemu dać trzeba, zauważyliśmy, że przy osadzeniu go szczególniey względ mieć powinniśmy na urodzonego Jana Kochanowskiego z Czarnolasu, Tego bowiem jego liczne i szlachetne przymioty, jego dla kraju zasługi, jego przezacne i wyborne zdolności, tudzież niezwykła nauka, od nas zdają się wymagać i niejako kryjomo dopominać, aby jak pomnikowemi dziełami swego dowcipu przynosi ojczyźnie chlubę i użytek, tak nawzajem od zaszczytu i godności obierał. Urząd zatem wojskiego, który według naszego zdania najlepiej przypada do jego usposobienia i do trybu życia, dać mu postanowiliśmy; jakoż go przez obecne pismo nasze dajemy i zlecamy: ze wszystkimi jego prawami i dochodami, jakie poprzednio wojskim służyły, a to dożywotnio lub do czasu dostąpienia, czy to wyższego jakiego urzędu, czy dostojności. O takowem zaś daniu przez nas tego urzędu

powiadamy wogóle dygnitarzy, urzędników, panów stanu rycerskiego i wszystkich, którzy o tem wiedzieć powinni, rozkazując tu wymienionym, aby rzeczonoego Jana Kochanowskiego za prawego wojskiego sandomierskiego mieli i jemu miejsce, prawa i przywileje służące oraz dochody do tego urzędu przywiązane, według przyjętego zwyczaju, tudzież uległość, jaką mu kto winien, zapewnili. Na wiarę czego pismo to ręką naszą podznaczyliśmy i pieczęcią urzędową rozkazaliśmy opatrzyć. Dano w Wilnie, dnia 9 października r. p. 1579, panowania naszego czwartego roku, Stefan, król, podpisał."

SENTENCJA: Prawda jedna tylko najgorszych i najzacieńszych wrogów, bo nie znam człowieka, któremubym mógł całą prawdę powiedzieć bez ryzyka nienawiści z jego strony.

St. Przybyszewski.

WOLNA TRYBUNA

Szklane domy

Znacie „Przedwiośnie“ i owe szklane domy, żyjące jeno w wyobraźni Czarusia! Jakkolwiek rozbijają się piękne plany o twarde brzegi naszej rzeczywistości, jednak w myślach, gdzieś bytują głębokoko, kielkujące ideały życia „na serjo“, takiego, o którym warto dyskutować. Niestety wielu z nas nie bierze poważnie młodości, mniema, że polega wszystko na wagarowaniu, łazikowaniu, bumbłowaniu i nie robieniu sobie „nic z niczego. Koleżanki i Koledzy! Niejeden przebrnie przez to życie bez echa, bez śladu. Zdobędzie się na fałszywy gest, na napuszony frazes, na śmiech bez treści poważnej. Po takim młodzieńcu zaginie wszystko. Na grobie jego zmarowanej młodości trawka wyrośnie, zostanie nieco nawozu i niepłacone rachunki. I zostanie niesmak, że przełazikowałem najlepszy okres budowania sobie i drugim ideału z własnych dążeń. A jednak społeczeństwo patrzy na nas, czeka i spodziewa się wielu rzeczy. Dlatego musimy uczyć się żyć w społeczeństwie!

My, ludzie nowi, powojenni niechętnie rozmawiamy z umarłymi, głos przeszłości nuży, nudzi, jak staruszka babcia z portretu

ub. wieku. Jednak pogodzić się musimy z tem, że stopień wiedzy należy zdobyć. Wolelibyśmy więcej socjologii, ekonomji, nauk politycznych, wolelibyśmy neopozytywizmu, trzeźwości. Archiwa nas nie pociągają wcale. Raczej wolimy technikę nowoczesną. Budowę maszyn, samolotów, wyścig konstrukcyjnych obiektów. Ale warunek, musimy do czegoś dążyć, czegoś chcieć, rwać się do świata. Partykularz ten jest tak mały, jak brudne, zaśmiecone podwórko z zapachem stęchłej wody. Nie wystarczą kremowego koloru rękawiczki, dobrze zaprasowane spodnie, perskie oczko i grymas panicza. Chciejmy dobrego fundamentu pod szklane domki.

J. H. (VIII)

Feljeton wakacyjny.

Wspomnienie nie tak odległe. Koniec roku szkolnego był przeżyciem wzniosłem. Zatrzaśnięto podwoje naszej uczelni, dzwonek gimnazjalny przeszedł w stan spoczynku, dobrze znane twarze rozjechały się na wsze strony. Nie czuło się przenikliwych oczu, śledzących nas wszędzie. Furmanki wywiozły młodzież do okolicznych folwarków, nuda zaś umarła i narodziła się ulga. Uczucie tęskne i radosne. Miłe bezrobocie obnażyło nasze młodzieńcze dusze, grzeszne ciała spoczęły na słońcu, możając się w trawie, pływając po wodzie albo wałęsając się po parku miejskim. Zostałem w Dziśnie na czas letnich wyweczasów, pisząc feljeton wakacyjny. A jest ku temu sposobność. Dzisiaj, miasteczko niczego sobie, kilka wałających się domów, dużo piasku, masy wody rzecznej i bieda, krzycząca aż ha..! Leżąc, jak faun w cieniu krzaka mogłem myśleć, że jestem rozbitkiem morskim, Odysem. Śledziłem lekkie sukienki, czułe umizgi, szepty lipcowego wiatru i nocne przyjaciół rozmowy. Siatkówka była mym sportem. Poczciwa piłka—ile ona mi dawała przyjemności. Gdyby nie ta pewność, że jest tworom krajowym, mógłbym sądzić, że spreparowano ją w brunatnym domu z Żydów obdzieranych tam ze skóry dla celów exportowych. Czasem Hitler przydałby się młodzieży np. podczas palenia książek szkolnych po rozdaniu świadectw. Zatrzymałem sobie Horacego, n.p. List do Pizonów i słownik, bo lubię do niego zaglądać. Np. słowo „obacz“ dużo do mnie mówi: obacz, trzeci wiersz od dołu, strona 900, prawa oficyna, drugie piętro na lewo. I zaraz stałem się Olimpijczykiem, zwłaszcza po dokoń-

czeniu powieści na zadany temat. Mocą się krzepiłem, jak czemś dobrze znanem. Wieczorami coś straszło w Dziśnię, bo naogół boję się „umrzyków“, a gdy trzeba wyrzuci niedobra Dzwina niepotrzebnych topielców. Odwróćmy oczy. Widzę chiromantę, wyciągam dłoni i pytam się co nas czeka. Wielkie zmiany—odpowiedziały. Chwała Bogu! a więc czekają nas wielkie zmiany z początkiem roku szkolnego. Gwizdnąłem z radości, wsunąłem ręce w spodnie i zanuciłem kuplet z operetki.

Jan (VIII)

Nad szczytem góry

Siedmioklasista Witek siedział skulony nad książką. Przed nim stała mała okopcona lampka. Wiedział, że o własny i siłach musi przejść przez życie, że na niezamożnych rodziców liczyć nie może. Ma młodość, zdrowie i przyszłość, do której iść trzeba po cierniach. Tak, bo życie da mu wtedy byt, gdy o suchym kawałku chleba, popijając mlekiem lub wodą swą biedę wykuje stopnie i dojdzie do matury. To będzie jego karta wizytowa, czemś do przyszłości.

Oczy mu się kleiły, brwi jeżyły się z zadumy, dłonie nurzały się w gęstych włosach a biedne oczy nabrzmiały krwią. Zegar ścienny wybijał monotonna godziny i noc zapadała szybko.

Biedny Witek! Dla niego niema wygody, wyspania, zabawy. Roboczy twór ludzki w mundurku ucznia musi żmudnie grzebać się w książkach. Musi—odrabiać lekcje Musi? ... To uczucie znane mu jest zanadto dobrze. Żmuszał się, żeby nie zasnąć. Powieki same się kleiły i nie dały czuwać biedakowi. Jakby makiem sypał mu w oczy niedobry los. Wreszcie zasnął.

Cóż może się sztubakowi wysnić? Dobry lub zły humor nauczyciela, dobry lub zły stopień z przedmiotu, rozmowy z kolegami lub razowy chleb głodnego żaka.

Tymczasem dziwnie majaczyło mu się przed oczami. Widział świat, którego prawie nie zna jako horyzontalną linię. Widział mrowie ludzi, biegnących przed siebie, w pogoni za czemś. Widział Witek starców, potykających się pod brzemieniem lat i nieszczęść, chude, wynędzniałe matki, karmiące, nie mlekiem, ale krwią własne dzieci, synów złamanych rozpustą lat młodych,

bez uśmiechu, z grymasem żalu; i tych, co kłamią, i tych, co handlują honorem, co mordują dla zysku. Widział różnych małych ludzi, którym na imię: doświadczenie, a w herbie „Przyziemność”. Brud życia. Odwrócił twarz i zawstydził się, że życie zabija duże i uczucia ludzkie na drodze do ideału.

Poszedł w inną stronę, gdzie jak w teatrze (po scenie piekła) jest raj ludzi wierzących w byt lepszy na przybudówce kulis.

Przed oczami stanął mu nagle kapłan idei, której służy całą mocą charakteru. Choć wija się u nóg padalce, on idzie z wiarą tego, co wie, że zwycięży. Wokół niego tęcza, u ramion skrzydła natchnienia, niby prorok, idealista.. To nie zjadacz chleba, nie człeczyna z prawem do emerytury, ale filozof—mędrzec. Czy błądzi, mętym wzrokiem ogarniając świat? Czy aktor kiepskiej ramoty scenicznej? Witek podążył za nim. Siła magnetyczna przyciągała go do owego filozofa, mającego wrogów „z radości”. Śród zawiei idzie uśmiechnięty, jak ten, dla którego „słowo prawdy“ istnieje. Istnieje jako byt, Witek przypadł do kolan starca, mędrzec ścisnął głowę młodzieńca, pocałował i wyszeptał:

„Nad szczytem tej góry wieniec gwiazd, nad horyzontem nieba—wieczność. Zwróć oczy w zorzę wieczorną i przelicz lśniące muszki, rojnie mknące. To nasze marzenia, które w świetle życia lecą, hen, do Nieznanego Losu“.

Witek drgnął. Poczul zimno i chłód.

A. Kościukiewicz.

Słowo o działalności prof. A. Matyaszkii

Rozpoczynając rok czwarty naszego piśmka, staje mi przed oczami ogrom trudu i pracy moich poprzedników redakcyjnych.

Sama myśl, by na ugorach dziśniejskiego pustkowia, na lotnych piaskach bezludzia kresowego, gdzie serce może zamierać z bólu, niezrozumienie zamyka wrota przed inicjatywą—stworzyć organ dla pisanego i drukowanego słowa wydać się może zbyt śmiałym przedsięwzięciem. A jednak myśl ta zrealizowała się i pierwsze kroki zrobiła nasza prasa gimnazjalna. Jakie to niepozornie skromne zjawiska, a przecież pokąźne...

Wygląd naszych pierwocin, pisanych niezdolną ręką uczniaka był, pożałuj się Boże!—mizerniutki. Szata zewnętrzna bardzo była

jeszcze zaściankowa. Nikt o nas nie wiedział, nikt nie czytał. Sami swoi tylko. Sytuacja jednak zaraz się zmieniła, kiedy otrzymaliśmy kuratora piśmka w osobie prof. Matyaszkę. Jego znana nam wszystkim energja, jego niezmordowana wola, by pchnąć raz zrodzoną już myśl na właściwe tory dokonała rzeczy arcytrudnej. Nie mając na miejscu drukarni, należało mimo trudności komunikacyjnej pertraktować z Głębokiem, odległym o 70 km. od Dżisny.

I jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej plik zmiętych i poplamionych papierów, zabrudzonych atramentem ujrzał światło dzienne—w drukowanej edycji. Już bez szapirografu, przeobrażeni zupełnie obaczyliśmy siebie ze łzami szczęścia, my, nieudolni pisarczykowie prowincjonalni na czystych kartach pięknie zadrukowanego arkusza. Trudności wciąż rosły: pieniędzy trzeba było zdobyć dużo, a skąd? I tu znów inicjatywa prof. Matyaszkę okazała się konieczna, a mianowicie należało skupić wokół siebie młodzież szkoły powszechnej. W ten sposób daliśmy pole pracy naszym młodszym kolegom, mieliśmy większy zakres pracy i zysków. I co ważne, całą młodzież dzisiejską sprzęgliśmy w jedno ognisko.

Niedosyć na tem. Nawet macki pisma sięgnęły do Wilna, gdzie jest Związek akademików dzisnian. W ten sposób docieraliśmy do młodzieży akademickiej.

Sam prof. Matyaszko po nocach pracował nad korektą, sam odsylabizowywał nieczytelne wypociny umysłowe sztubaka. Sam on gromadził materiały, energicznie grupował archiwum, miał ewidencję pracy redakcyjnej.

Jeżeli dodamy trud jego położony w bibliotece zupełnie nieuporządkowanej, imprezy teatralne, wyjazdy ze Strzelcem na gościnne występy z wyreżyserowanemi przez siebie sztukami—powiemy, że ogrom pracy był wielki.

Słuszność i sumienie każą nam dlatego oddać hołd pracy człowieka o żelaznej woli i entuzjazmie artysty, czulego na wszelkie objawy kulturalne obecnego pokolenia młodzieży.

Za ofiarną Twą pracę, Czcigodny Profesorze i Kuratorze „Naszego Głosu“, przyjmij tą drogą serdeczne nasze podziękowanie.

Milecjusz Andzilewko (VII)
naczelný redaktor „N. Gł.“ w Dżisnie.

Głosy prasy.

Pięć numerów dziśnienkiego dwumiesięcznika „Nasz Głos“ na przestrzeni od 1931—1933 drukowany jest z winietką herbową powiatu, przedstawia Pogoń i snop zboża. Piszą tam i profesorowie, np. prof. Jaxa Bykowski daje charakterystykę dziśnienkich ósmaków z 1933 roku. Określa większość uczniów jako rasę subnordyczną, o średniej sile fizycznej, wzrost dość znaczny, festy psychiczne dają najlepsze wyniki odnośnie do wyobraźni i pamięci, słabsze w spostrzegawczości i ścisłości rozumowania, dziewczęta mają lepszą pamięć, a żydzi, ktody myślał, gorszą spostrzegawczość. Wreszcie pod względem siły woli, zeznania były zupełnie na korzyść uczniów, zdolnych opanować swe uczucia i namiętności. Przeważają wypracowania na zadane tematy jak, Sobieski, Z katechizmu rycerskiego Czartoryskiego, O Powstaniu 63 roku, i t. p. ale jest i sporo regionalnych obserwacji, legend, zwyczajowych obrzędów (Wilczy dół, Cioreszki. Wierzenia ludu białoruskiego i t. p.). Czasami wcale radne wiersze, np. Uroczysko Eri i Jastrzębca „Przy kominku“, świetny obrazek „Rozmowa myśliwska“ (w 3-m nr. 32 r.). Wogóle utwory literackie są w tem czasopiśmie zajmujące, np. takie obrazki jak Pupina i Pietruszewskiego VII kl., albo takie zakończenie „Igraszek losu“ utworu Andzilewki z VI kl.

„Nie idzie życie po linii kaprysu, ale i instynktu. On nas wiedzie przez rozpadliny marzeń, aż siebie odnajdziemy. Oleś uciekł od swoich, którzy byli mu obcemi, uciekł do obcych, bo może tam znajdzie już... swoich. Być raczej igraszką instynktu samozachowawczego, nigdy cierplarnianego“. To są spostrzeżenia wzięte z życiowego doświadczenia młodziutkiej coprawda duszy, ale przemyślane, dowodzą patrzenia na bliźnich ze współczuciem społecznem, którego nam tak potrzeba. Obfita kronika o teatrze amatorskim i szkolnych sprawach dopełniają numery. Należałoby dawać jaknajwięcej zwyczajowych, miejscowych opisów, np. „Cioreszki“, dlaczego nie dano piosenek, które mogą niedługo zaginać? Obserwacje przyrody, ludzi, typów, badanie wspomnień starych ludzi, życie okoliczne, to są zadania takich pism szkolnych na prowincji poza sprawami gimnazjalnemi. Życie naszej wsi jest mało znane! Jeśli się tam popełni kryminal, jeśli zdarzy się tam jakieś przestępstwo, lub obchód narodowy, mamy kronikarskie notatki, ale nikt nie zagląda do wnętrza

chat. Któż z miast tam wejść potrafi? Niechże to uczynią ci, co z tych chat wyszli lub blisko nich żyją, to będzie najwdzięczniejsze i najbardziej owocne zadanie pisemek szkolnych, jeśli mają mieć jakąś rację bytu. Bo drukowanie wypracowań, choćby celujących, o Wyśpiańskim czy Sobieskim, nie ma celu. Wszak stopień autor może otrzymać w klasie, odczytać taki elaborat na wieczorku litetackim, popularnym i t. p. a drukowane słowo na takie tematy przeczytać z większą korzyścią w piśmie dorosłych autorów.

(„Kurjer Wileński“ Nr. 154 z 13.VI.1933 r.)

* * *

Od red: Ponieważ do wyżej przytoczonej recenzji o „N. Głosie“ wkradły się nieścisłości, prostujemy, że na okładce naszego pisma niema Pogoni i snopu zboża, nie było wyjątków z „Katechizmu rycerskiego Czartoryskiego“, ani o „Wilczym dole“, ani o Uroczysku Eri, ani „Przy Kominku“, ani Rozmowy myśliwskiej, ani prac Pietruszewskiego (VII) oraz Jastrzębca.

List z Padwy o „N. Głosie“.

Któż ze szkolaków dzisiejskich przypuszczałby, że pismo ich wywędruje za granice ojezyste?

A jednak numer styczniowy „Naszego Głosu“ znalazł się aż w słonecznej Italji! Czy to dlatego, że przyszedł on z tak dalekich rodzinnych stron, czy też dlatego, że opiekunem tego pisma jest mój najukochańszy profesor z lat szkolnych i uniwersyteckich,— numer ten przeczytałem od A do Z, począwszy od okładki, a skończywszy na końcowych ogłoszeniach. Rzucając na papier kilka uwag, które nasunęły mi się przy czytaniu, muszę zaznaczyć, że wszystkie te uwagi odnoszą się tylko i wyłącznie do numeru 5-6 „Naszego Głosu“, albowiem niemożliwym jest charakteryzować danego pisma na podstawie jednego numeru. Rozmiary i szata „naszego Głosu“ odbiegające daleko od szablonu zwykłych czaso-

pism szkolnych, przedstawiają się okazale i pozwalają przypuszczać w wielkiej ambicji i zrozumieniu u swego zadania jego kierowników; potwierdza to przypuszczenie dumnie stojące na pierwszym miejscu dwa słowa „Rok III“. Brak dowcipów, żartów i ograniczony dział rozrywkowy świadczy o poważnem myśleniu szkolaków dzisiejszych. Jednakże dobór materiału nie wydaje mi się być odpowiednim. Przedewszystkiem uderza minimalna ilość własnych utworów uczniów wzgl. uczenie: Wiersz do powstańców z 63 r. notabene bardzo ładny, dokończenie nowelki oraz bajka dla najmłodszych, którą wątpię, czy ktoś z najmłodszych zrozumiał—i to wszystko. Reszta, wyjąwszy pierwsze trzy artykuły—to przedewszystkiem historia. Kopanie się w aktach i robienie streszczeń z różnych dzieł historycznych, jest według mnie, pracą niewdzięczną. Kogo interesuje np. echo powstania styczniowego nad Dźwiną lub ilość staroobrzędowców, czy też kilka not. tek z historii Dereczyna, tego można odesłać do odpowiednich dzieł, reszcie mało zaszkodzi nieświadomość tych wydarzeń. Co za sens grzebać się w mało znaczących faktach dawnej, niepowrotnej przeszłości? Czyż nie lepiej rozważać o teraźniejszości, myśleć o przyszłości? Jest przecież tyle spraw, problemów, trosk aktualnych, jest tyle pytań czekających na odpowiedź, tyle zagadnień, o których i Wy musicie się wypowiedzieć! Ożywcie trochę Wasze pismo, piszcie własne utwory, wypowiadajcie własne myśli na tematy naukowo-literackie i społeczne, a jeżeli drukujecie dzieła lub słowa innych, to dodajcie parę wierszyków komentarzy.

Aczkolwiek nie do mnie należy dawanie rad, to jednak w tej formie wyraziłem swoje uwagi o styczniowym numerze „Naszego Głosu“.

Z koleżeńskim pozdrowieniem i szczeremi życzeniami.

R u s s o t a,

Padwa, w kwietniu 1933 r.

Kalendarz reportera.

23. VIII. Nabożeństwo inauguracyjne z okazji nowego roku szkolnego — odprawił ks. pref. S. Małachowski.
27. VIII. Staraniem „Związku Akademików Dziśnian” odbył się Wielki Festyn Ludowy. Na program złożyły się: komedijka p. t. „Ostatnie dwa ruble”, tańce, zawody kolarskie, lekkoatletyczne, siatkówka, strzelanie do mety. Licznie zebrana publiczność okazała dużo zainteresowania rozwojem sportu w Dziśnie.
2. IX. Wielka zabawa akademicka w „Domu Ludowym”.
- 7, 8, 9, 10. IX. Część młodzieży gimnazjalnej pod kierunkiem prof. Szuleówny i prof. Markiewicza zwiedziła Targi północne.
11. IX. Wycieczka młodzieży gimnazjalnej do pobliskiego lasu.
16. IX. Staraniem miejscowego „Strzelca” odegrano sztukę Korzeniowskiego p. t. „Karpaccy górale” z p. dyr. Staniewską w głównej roli. Salę Domu Ludowego wypełniła młodzież gimnazjalna po brzegi.
17. IX. Z okazji 250 rocznicy Odsieczy Wiednia odbył się pochód z orkiestą gimnazjalną w asyście dwóch husarzy w strojach historycznych, pomysłu prof. Barwickiej. Przed Domem Ludowym przemówił do licznie zebranej publiczności prof. Wołoszczuk — pięknie i podniosłe. Wieczorem-akademja, podczas której ze swadą wygłosił odczyt kol. Bureń (VIII).
23. IX. Staraniem żeńskiej drużyny harcerskiej odbyła się wieczornica.
- 23, 24, 25. IX. Uroczystość parafjalna św. Tekli. Młodzież katolicka przystąpiła do spowiedzi i komunji św. Jak zawsze tak i w tym roku setki wiernych przybyło na odpust. W związku z przybyciem szerokich mas z prowincji, miejscowe Koło LOPP-u zilustrowało walkę gazową. Pokazy odbyły się na rynku. Do licznie zgromadzonej publiczności przemówił p. Kobiak A., nauczyciel w Szkole Powszechnej, podkreślając znaczenie lotnictwa w przyszłej wojnie, oraz porucznik Sztuka —

objaśniając poszczególne punkty programu. Wieczorem tegoż samego dnia w sali „Domu Ludowego“ II-ga męska drużyna harcerska przy Szkole Powszechnej wystawiła komedijkę: „Sen Józia“.

30. IX. Odczyt p. Dyrektora dr. T. Staniewskiego o odsieczy Wiedeńskiej. Dochód przeznaczono na Przedszkole.
1. X. W sali „Domu Ludowego“ odbył się odczyt na temat dotychczasowej działalności LOPP-u.

Humor i Satyra.

„Szeroki świat“

Tak! tak! Kultura się „posuwa“... Widziałem na własne oczy postęp. Ale.. ja się trochę boję koleżanek, bo widziałem... kulturę ciała kobiecego!!

Patrzę jednego razu przez okno — o dziwo! — idzie „kulturalna“ koleżanka. Ślicznie, cudownie wygląda.

Usteczka czerwone (zdaje mi się od bibułki), brwi czarne, a w głowie zieleno... nie, przepraszam, chciałem powiedzieć na głowie zielony берет! Naturalne kolory, czyż nie prawda? Może trochę bolą brwi, bo musiała być ciężka operacja. Ale przecież o to nikt nie pyta, zresztą „nemo sapiens, nisi patiens“.

A rączki? Fit, fit w powietrzu. Białe rękawiczki na brud... fe, przyjacielu, kompromitujesz mnie—na ślicznych rączkach. Główka wysoko, oczki zerkają na lewo i prawo. To mi to bogini głup - sza!, piękności.

Opiekun pisma: prof. ALEKSANDER BOLESŁAW CYPS.

Redaktor naczelny: MILECJUSZ ANDZILEWKO (VII).

Zastępca redaktora: DYMITR KASATY (V).

Komitet redakcyjny: JAN HUSZCZO (VIII), WIKTOR GINTOWT (VII), ANNA CHROŁÓWNA (VI), JÓZEF BUJONEK (V).

Wydawca: MŁODZIEŻ GIMNAZJALNA w Dziśnie

Rękopisów nie zwraca Redakcja.

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian i przeróbek w rękopisach.

Anonimów nie bierze się pod uwagę.

Autorzy kryptonimów muszą Redakcji podawać istotne swoje nazwiska, by uniknąć nieporozumienia.

Prenumerata pisma rocznie wynosi: bez przesyłki — 3zł.

z przesyłką — 3 zł. 50 gr.

Cena ogłoszeń zależna od umowy.

DRUKARNIA Z. SZEJNBOJMA

Głębokie, Plac 3 Maja Nr. 26. tel. 45.

Wykonuje wszelkie roboty

DRUKARSKIE

wykwintnie, szybko, tanio.

WIELKI WYBÓR CZCIONEK

SZYBKOBIEŻNE MASZYNY.

Dział inseratowy.**Zakład fotograficzny
JÓZEFA KONTAKIEWICZA****w Dziśnie
przy Alei Poniatowskiego I. 19**

przyjmuje wszystkie prace z zakresu fotografii: zdjęcia
(o każdej porze dnia bez względu na niepogodę),
powiększania, reprodukcje, wywoływanie klisz, błon,
odbitek.

Ceny dostępne.**Skład apteczny
ALEKSANDRA HOFFUNGA**

został przeniesiony na ulicę Żeligowskie-
go, róg ul. Wileńskiej (dom Ettingenowej).

— KSIĘGARNIA —**Polskiej Macierzy Szkolnej**

zaopatruje młodzież w książki szkolne oraz we wszelkie
przybory piśmienne.

Subskrybujcie**POŻYCZKĘ 6% NARODOWĄ**

Czytajcie i rozpowszechniajcie
„NASZ GŁOS“.

